



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Stanisława Gontarska

Z poziomu oczu dziecka

Na pograniczu Padolu Zamojskiego i Rostocza Środkowego, wzdłuż niecki między równoległymi wzgórzami ciągnącymi się od wschodu do zachodu, znajduje się moja wieś rodzinna o nazwie Niedzieliska.

Od strony południowej, ciągnął się tor kolejowy, równoległy do wsi, łączący stację Zawada ze stacją Klemensów. W ciągu doby przejeżdżało wtedy kilka pociągów osobowych i towarowych. Żelazna droga przecinała wąskie pasy pól, które ciągnęły się aż do lasu mijając wzniesienia. Jedno z nich Dziewicza Góra, dochodziło do 272 metrów wysokości.

Do pachnącego, zielonego lasu oraz pól za wzgórzami prowadziły miedze, wąskie drogi. Białe i Czarne Wygon, na których od wiosny do jesieni pasły się krowy. Po deszczu tłusta ziemia zwana borowiną przyklejała się do kół wozów, końskich kopyt, racic krowich oraz obuwia. Dlatego czekano wtedy kilka dni aż trochę podeschnie i zabierano się w pole.

Po dłuższej suszy pełno było małych i większych, płytkich i głębokich pęknięć. W miejscach przejezdnych, tak mocno ubitych, błyszczących i wygładzonych przez żelazne obręcze drewnianych kół wozów, można było zobaczyć swoją twarz.

Zaraz za stodołami od strony południowej prawie połowa wsi miała łąki. Na wiosnę było zawsze pełno wody i kaczeńców. Żeby je zerwać na bukiet trzeba było na bosaka wejść do wody, która już kilka metrów od brzegu sięgała kolan. Potem dzieci cierpiały, bo nogi miały przemarznięte, sine i posiekane. Bliżej lata woda zniknęła, zostawała tylko w wąskim rowie wykopanym kiedyś przez mieszkańców wsi.

Po północnej stronie naszej wioski były ogrody, łąki i także woda. W niektórych miejscach rosła bardzo wysoka trzcina a w niej żyło dużo żab i dzikiego ptactwa. Ogrody pełne warzyw a także lnu, kopni oraz tytoniu ciągnęły się aż do głębokiego rowu, pełnego wody i różnych wodnych roślin.

Ten rów to granica ziemi naszej wioski i łąk pełnych różnych kwiatów należących do wsi Wielącza, w której domy wraz z budynkami gospodarczymi leżały w większej odległości od zabudowań sąsiadów. Na rowie zbudowano drewniany most, przez który szła droga z fosami po jej obu stronach, łącząca obie wsie.

Przez Wielączę, oprócz drogi wiejskiej, ciągnęła się szosa łącząca Zamość ze Szczepieszynem. Po północnej stronie szosy też rzadkie gospodarstwa i ich pola aż do wzniesienia około 240 metrów zamykającego krajobraz.

Wszystkie drogi przejezdne przez wieś, szosa, tor kolejowy, rów leżały równoległe do siebie i do wzniesień.

W niewielkiej odległości od mojej wsi w kierunku południowym zaczynała się Kolonia Niedzieliska. Przy wąskiej drodze łączącej koniec wsi z lasem, na zachód od Czarnego Wygonu kilka rodzin w znacznej odległości od siebie wybudowało swoje gospodarstwa i ogrodziło się drewnianym płotem. Za górą zamieszkało więcej rodzin, ale ich zabudowania nie były widoczne ze wsi.

Pod lasem w niezbyt daleko od Kolonii Niedzieliskiej powstały Przymiarki. Mieszkańcy tych wsi mieli blisko do lasu, a obok kawałki pól, na których uprawiali to co było najbardziej potrzebne do życia. Wodę pobierali z kilku bardzo głębokich studzien.

W mojej wiosce rodzinnej tuż obok siebie były sąsiedzkie zabudowania gospodarcze i domy zbudowane z drewna, kryte przeważnie słomianą strzechą, ale także gontem i papą, rzadziej blachą. Właściciele niektórych domów przed przyjściem zimy do okien przymocowywali drugie okna po zewnętrznej stronie i otulali je oraz ściany zagatami (mieszanką słomy z leśnym poszyciem), które zatrzymywały ciepło wewnątrz chat. Na wiosnę to wszystko ściągano, a szpary między deskami zaklejano gliną. Potem ściany bielono jasnoniebieskim wapnem. Podobne czynności odświeżania ścian odbywały się wewnątrz mieszkań.

W górnej części okien wieszano nowe firanki wykonane z bardzo cienkiej białej bibuły, którą najpierw składano na cztery części, rysowano różne wzory, potem ręcznie wycinano nożyczkami i rozkładano. W dolnej połowie okien zakładano czyste, wykrochmalone, wyprasowane zasłonki z białego lub kolorowego materiału. Na ścianach wisiały obrazy poświęcone przez księży chodzących po kołędzie, a bliżej okna – lampa naftowa. Każdy gospodarz starał się mieć także latarkę naftową potrzebną do rozjaśniania ścieżek przydrożnych, którymi szło się odwiedzić rodzinę lub sąsiadów albo zajrzeć do wnętrza obór i stajni, sprawdzić późnym wieczorem czy wszystko w porządku.

Wewnątrz chaty stały drewniane łóżka z siennikami, pierzynami i poduszkami, nakryte lnianymi, wybielanymi narzutami wyszywanymi kolorowymi nićmi, dołem wyhaftowanymi szydełkiem. Obok – sofa mająca drewniane oparcie i poręcze, ława, taborety, stołki, stół i skrzynia ozdobnie malowana i rzeźbiona.

Raz w roku na powale przymocowywano pięknego „pajaka” wykonanego ręcznie z kawałków żytniej słomy i kwiatków z kolorowych bibuł. W kuchni był piec chlebowy, gdzie co tydzień pieczono smaczny chleb z razowej mąki. Kilka razy w roku, z okazji zbliżających się świąt i rodzinnych uroczystości, korzystano z pieca, by upiec różne pieczywo ale z mąki pszennej.

Na wiosnę u góry zewnętrznych ścian, tuż pod strzechami, koło okien zaczynała się praca małych, czarnych jaskółek, które lepily gniazda. Rodzice i dziadkowie, starsi mieszkańcy wsi, wprost rozkazywali dzieciom nie przeszkadzać ptakom w ich ciężkich pracach. Całą wiosnę byliśmy świadkami budowy „domków”, a potem obserwowaliśmy karmienie małych istot i uczenie ich lotów.

Na wysokich, specjalnie uciętych wierzchołkach drzew i na dachach kilku stodół były gniazda wielkich, białych bocianów z czarnymi skrzydłami i długimi nogami. Wspaniałe ptaki najpierw reperowały swoje gniazda. Potem siedziały na jajkach, klekotały i karmiły maleństwa. Często można było widzieć i podziwiać ich jak stały na jednej nodze lub jak chodziły po wodach szukając żab i innego pokarmu.

Oprócz tych ptaków były jeszcze wrony i wróble. Ich krakanie i ćwierkanie pamiętam do dzisiaj.

We wsi była szkoła. Tylko szkoła była jedynym dwupiętrowym budynkiem wymurowanym przed wojną z czerwonej cegły o dużych podwójnych oknach i kryta blachą. To najważniejsza budowla dla mieszkańców wsi, a szczególnie dla dzieci.

W Wielączy z daleka widoczny był kościół, do którego chodzili na msze i inne uroczystości kościelne mieszkańcy kilku wiosek. Ścieżka, przez łąki i ogrody, do kościoła z naszej wsi latem, wydeptana była naszymi bosymi stopami. Obuwie nosiło się w rękach. Były to letnie sandały lub białe płócienne tenisówki, które często myło się i smarowało specjalną pastą przyrządzoną z białego proszku do mycia zębów wymieszanego z wodą. Potem suszyło się na słońcu. Pod koniec podróży, przed szosą, na trawie wycierało się stopy wilgotną szmatką i wkładało obuwie. Kościół był mały, a ludzi bardzo dużo. Tłok i ciasnota wewnątrz świątyni doprowadziła do tego, że w gorące dni zaczęto odprawiać msze na zewnątrz, przy ołtarzu przygotowanym w widocznym miejscu. Ludzie mieli więcej miejsca na świeżym powietrzu, w cieniu drzew.

Mój dziadek był kołodziejem i tatę nauczył pomagać mu w tej pracy. Oprócz prac polowych, młócenia zboża cepami, cięcia słomy na sieczkę w sieczkarni, wożenia buraków do cukrowni, wykonywano drewniane koła do konnych wozów zamawiane przez mieszkańców tej i sąsiednich wsi. Od najmłodszych lat byłam świadkiem tej ciężkiej pracy. Pamiętam do dzisiaj wielkość, kształt i kilka nazw drewnianych części, z których powstawało koło, np. kłódka, szprychy, dzwony kołowe. Koło wykonywane było na drewnianej kobylicy przy pomocy ośnika, dłułka cienkiego i grubego, świderka, świdra, hebla, piłki ręcznej i piły.

Wióry i wióreczki, długie i krótkie, szersze i wąziutkie, wolniej i mocniej skręcone – to moje pierwsze zabawki. Potrafiłam z nich układać zwierzątka, ptaszki, lalki i kwiaty. Płakałam, jak mi je zabierano na rozpalanie ognia w kuchni, bo trzeba było coś gotować.

Zbierałam wtedy następne wiórki, swoje prace pokazywałam rodzicom, także koleżankom i kolegom. Często zachęcałam ich do wspólnej zabawy. Dzieci cieszyły się z tego, ale także zazdrościły mi, że ja mam się czym bawić, a one nic nie mają.

* * *

Dzieciństwo moje przypadło na okres okrutnej wojny i dość trudne lata powojenne. Córki mojego dziadka, jedna już była mężatką i niedaleko nas mieszkała, mój ojciec oraz inni młodzi mieszkańcy wsi wyznaczani byli przez sołtysa na roboty za darmo. Nazywało się to wtedy „chodź na proszpanty”. Czas wojny spędzaliśmy we wsi, jej okolicach i w lesie.

Najgorsze dla mnie, braciszka i moich rodziców były lata 1942 i 1943. W tym czasie na Zamoj-szczyźnie trwała akcja wysiedleńcza. Celem Niemców było zniszczyć ludność wiejską, aby w ich rodzinnych miejscach osadzić kolonistów. Mieszkańcy wsi, młodzi i starsi bronili się. Uciekali ze swych gospodarstw, ukrywali się u bliższych i dalszych znajomych oraz kuzynów w sąsiednich wioskach lub w leśnych kryjówkach. Mieszkańcy naszej wsi, brali ze sobą krowy, przynajmniej mieli mleko do picia. Zwierzęta trzeba było także trzymać w ukryciu pod gęstymi, wysokimi drzewami, żeby z samolotów niczego nie dostrzeżono. Tylko nocami odważniejsze osoby zaglądały do wsi, aby sprawdzić, czy nic złego się nie stało, nakarmić i napoić pozostawiony żywy inwentarz oraz zabrać coś do jedzenia, porozmawiać ze starcami, którzy nie mogli lub nie chcieli opuszczać swoich domostw.

Gdy nastąpiła jesień, a z nią chłód i zimno, większość mieszkańców wsi wróciła do swych gospodarstw. Babci już nie było, zmarła w marcu 1942 roku dziadek ze swoją córką pozostał w swoim domu i we własnym zakresie wraz z sąsiadami kryli się gdzie mogli.

My, to znaczy mama, tato i ja z braciszkiem oraz najbliższa sąsiadka z dwojgiem wnucząt, schroni-liśmy się u wujka, który mieszkał blisko lasu, na Przymiarkach.

Słońce rzucało swe promienie na wysokie drzewa. Ich cień sięgał poprzez drogę do starych, drewnianych domów z małymi okienkami. Po drugiej stronie pola, jak okiem sięgnąć, czerniły się gdzieś tam krzaki jałowca, tarniny i dzikiej róży, które dawały schronienie dzikiemu ptactwu lub ma-łym leśnym zwierzątkom.

W dwóch drewnianych chatach przytulonych do siebie strzechami słychać było ściszone rozmowy. Przybywało tu coraz więcej ludzi nękanych ohydą wojną, nie mieli zbyt wiele do mówienia. Może nie zawsze dowierzali sobie nawzajem i trzymali wewnątrz siebie swoje tajemnice. Najważniejszą rzeczą było zaspokojenie głodu. Wujek – starszy brat mojej mamy – pracowity i zaradny człowiek, nieraz dawał mi pajdę razowego chleba, z którą biegłam do mamy, żeby pochwalić się, a może poczęstować... Mama zwykle w takich chwilach łamała ten kawałek na połowę i jedną część wkładała do rąk mojemu braciszce, który ssał ją jak cukierek. Miał półtora roku, był szczupły i blady, o niebieskich oczach i jasnych jak len włosach. Tato zaopatrywał nas wspólnie z innymi mężczyznami w opał a także chodził lub jeździł, jak się udało, do wsi zapoznać się z aktualną sytuacją.

Wujek poświęcał nam mało czasu, ponieważ w dobudowanym do domu pomieszczeniu, na zmaj-strowanych własnoręcznie „maszynach” wyciskał olej. W tej pracy pomagali mu inni mężczyźni. To oni przynosili nasiona oleistych roślin uprawianych na własnych polach. Wszyscy, którzy tu przebywali myśleli, że rzeczywiście to miejsce jest bezpieczne. O krok do lasu. Tam właśnie w razie czego można było szukać schronienia. Niestety, stało się inaczej. Rodzinna wieś szczęśliwym trafem uniknęła wysiedlenia. Zaś tu, tak daleko od wioski, gdzie nikt się ich nie spodziewał – przybyli.

Było to 8 grudnia 1942 roku. Szli od wschodu, na przełaj przez pola, trochę dalej w ukryciu zostawiając pojazdy, prosto do tych chat, w których mieszkaliśmy. Ciocia pierwsza ich zobaczyła. Wpadła do mieszkania z głośnym okrzykiem:

– Niemcy! Niemcy! Uciekajmy!

Wujka i kilku mężczyzn już nie było. Wujna schroniła się w piwnicy, w której były ziemniaki. Ciocia z córką i siostrą uciekły do lasu. Osoby, obarczone małymi dziećmi, pozostały. Tato kończył golenie brody. Niemcy pojawili się szybko. Do domów nie wchodzili, tylko stali na podwórku z karabinami gotowymi do strzału. Głośno krzyczeli. Bałam się tych słów, nie rozumiałam. Przeczynałam tylko, że jest to coś bardzo groźnego, bo mamie wszystko wypadło z rąk. W tym dniu szczególnie utkwił mi w pamięci fakt, jak szukałam jednego bucika, który jak na złość gdzieś się zawieruszył. Buta nie znaleźliśmy i mama pośpiesznie owinęła mi jedną nogę w chustkę ściągniętą ze swojej głowy. O obiedzie, na który miały być ziemniaki z czerwonym barszczem – nie było mowy. Minęła chwila. Zmarznięci, głodni i wystraszeni opuszczaliśmy dom i jechaliśmy na wozie drogą prowadzącą do szosy. Mama wpychała mi do rąk kartofle, które jeszcze nie były dogotowane. W dziecinnych dłoniach szybko stawały się zimne.

Z boków byli Niemcy. Pilnowali nas, żeby ktoś nie uciekł. Początkowo nie wiedzieliśmy dokąd jechamy albo nie chcieliśmy wiedzieć...

Znaleźliśmy się w obozie w Zamościu. Otoczony był podwójnym płotem z kolczastego drutu. Na początku segregowano rodziny. Wszystkich traktowano okropnie. Nawet nahajka była w ruchu. Każdą osobę badano i wpisywano dane, potrzebne tylko Niemcom. Potem rozprowadzano do różnych baraków.

Nas przydzielono do baraku numer 8, w którym umieszczono dużo osób o różnych zawodach. Jak szczęśliwe okazało się wtedy słowo: kołodziej.

– Macie szczęście – często słyszałam takie wypowiedzi starszych osób przebywających w sąsiednich, zewnętrznie podobnych do naszego, barakach, chociaż tak dobrze jeszcze wtedy tego nie rozumiałam.

Był to barak, jeden z szesnastu, który miał korytarz, sale z drzwiami, na ziemi deski z sękami położonymi obok siebie, okna z pojedynczymi szybami oraz jeden żelazny piecyk z fajerkami a przy ścianach drewniane prycze – miejsca do spania. Warunki sanitarne – okropne. Jak w każdym innym baraku wszelkie robactwo gryzło ludzi. Niedaleko „ósemki” znajdowała się ubikacja przeznaczona dla mieszkańców wszystkich baraków. Korzystano z bardzo niebezpiecznych otworów umieszczonych w cementowej posadzce. Dzieci, korzystające z nich, przytrzymywane były przez osoby dorosłe.

Tym barakiem opiekował się Niemiec, który wprost znęcał się nad ludźmi. Często w swojej mowie używał słowa: ne. Dlatego nazywano go Ne. Warunki życia były bardzo trudne. Nie było co jeść do syta, głodowano, zaczęły się choroby. Ktoś z rodziny chciał nam rzucić przez kolczasty płot ugotowane jajka, kawałek chleba a nawet woreczek ugotowanego bobu. Początkowo nie pozwalano, ale potem takie sytuacje udawały się i wtedy smakowanie chleba pieczonego przez rodzinę we własnych domowych piecach było wielką uroczystością. Cieszyłam się z tego, że tato przyniósł mi bucik. Znalazł go wujek po naszym wyjeździe, dostarczył mojemu dziadkowi, a dziadek znalazł okazję wrzucenia paczki przez kolczaste druty. Tam przeżywaliśmy głodne i smutne Święta Bożego Narodzenia. Często, mimo strachu, niezbyt głośno, ale śpiewano kolędy. Innym razem odmawialiśmy różaniec. Codziennie w barakach umierały dzieci i dorosłe osoby, których ciała układano na przejściach między pryczami, żeby rano wywieźć do wspólnej mogiły. Tą sprawą zajmował się mój tato.

Tam zmarł mój braciszek. Było to 22 stycznia 1943 roku. Budził się do życia zimowy poranek. Za oknem śnieg mocno skrzypiał pod nogami przechodniów. Okropnie zimno włąziło szparami między grubymi deskami ścian i nieszczelnymi oknami mimo żelaznego piecyka w sąsiedniej sali. Na pojedynczych szybach okiennych mróz wyrzeźbił w szronie piękne wzory w postaci różnych roślin. Mama przez całą noc tuliła do piersi mojego braciszka, pomimo tego, że od kilku godzin już nie żył.

Wewnątrz sali słychać było ściszone rozmowy jednych, płacz innych krzających się przy zmarłych, których przenoszono z prycz na środek sali, głosy dzieci i chorych staruszków czekających na kubek czarnej zbożowej kawy bez cukru oraz kawałek chleba. To było śniadanie, Potem, w późne popołudnie był obiad: rzadka zupa z kartofli, zaprawiona mąką. O kolacji trzeba było ciągle marzyć.

Mama wyciągnęła ze lnianego worka, jeszcze w dobrym stanie, dużych rozmiarów szal w kolorze granatowym z mereżką przy brzegach z połyskującymi różami. Jeszcze kilka dni temu owijała nim moją głowę i pokazywała sąsiadce z pryczy, w jaki sposób nosiła go latem. Kobieta domyśliła się, że w ten szal ma być owinięte ciało dziecka.

– Zostaw go, przyda się córce – zaczęła przekonywać moją mamusię – ja już nie mam nikogo, komu mogłabym swoje szale przekazać, więc jeden daruję maleństwu.

Tato wziął ciało synka. Udało mu się osobiście go zanieść do wspólnej mogiły. Swoim dziecinnym oddechem zdążyłam wychuchać kółko na zlodowaciałej szybie okiennej, przez które ostatni raz widziałam sylwetkę braciszka leżącego na rękach ojca.

Dziennie z całego obozu wynoszono lub wywożono kilkanaście albo i więcej osób. Pozostałym przy życiu członkom rodzin nie wolno było wychodzić na plac. Bolało nas to, że człowiek człowiekowi gotował taki los. Odchodzili od nas najbliżsi, a nam nie wolno było im towarzyszyć w ostatniej drodze.

Zazdrościłam koleżankom i kolegom, że mają rodzeństwo, ja już nie miałam. Często go widzę, czasem myślę, kim by został, gdyby żył, jakie byłoby jego życie...

Pamiętam

Miałeś niezapominajki w oczach włosy
lniane
Już umiałeś samodzielnie chodzić
obok Mamy
Byłeś filigranowym aniołkiem z
małym noskiem Potrafiłeś dać wiele
radości mnie i dorosłym
Chciałeś żyć jak inne żyły dzieci
pośród bliskich

Utraciłeś jednak wtedy dom i nas a
 więc wszystko
 Pamiętam biały szal sąsiadki całunem
 Ci był A także drżące ręce Matki Jej
 rozpacz i łzy Pamiętam ten styczniowy
 ranek rok czterdziesty trzeci I jeszcze
 to, że Tobie było dane umrzeć mnie –
 przeżyć...

Codziennie rano, nie zwracając uwagi na trzaskający mróz, zawieję czy deszcz ze śniegiem wypędzali nas na dzieciniec. Ustawiali w taki sposób, aby mogli jak najsprawniej przeprowadzić kontrolę. Pamiętam, jak moi rodzice wlokąc mnie za sobą, byłam wtedy bardzo chora, śpieszyli się do stołu, przy którym siedział komendant obozu. Obok stali jego pomocnicy z bronią w ręku. Byli dobrze zbudowani, elegancko ubrani i mieli rumieńce na twarzach. Mama, bardziej odważna niż tato, codziennie odpowiadała na te same pytania. Często zdarzało się, że zanim nazwisko dobiegło do człowieka i zanim człowiek dotarł do przodu, był likwidowany strzałem z karabinu.

Nie pamiętam w jaki sposób, ale dowiedzieliśmy się, że Przymiarki w połowie stycznia 1943 roku zostały ponownie wysiedlone. Niemcy wiedzieli, że w tych lasach działają partyzanci, że w tej miejscowości u stóp lasu mogą często przebywać, że ludzie tam mieszkający mogą im pomagać, kierować, żywić i dlatego Niemcy przybyli właśnie tam po raz drugi, żeby wykonać rozkaz.

Moja ciocia z matką i córką zostały umieszczone w baraku numer 12. Kilka razy moja mama próbowała ich odwiedzić. Ale tylko jeden raz przybyło jej więcej siły i odwagi. Zabrała mnie. Odpowiadała na każde pytanie, obojętnie jakiej osobie, że jestem chora i idziemy po radę do lekarza. Lekarza nie było. Mama i ja ruszyliśmy dalej. Udało się nam wejść do wnętrza tego baraku. Po bokach na ziemi pokrytej słomą siedzieli lub leżeli dorośli i dzieci.

Szliśmy powoli spoglądając ciągle na lewo i na prawo. To ja pierwsza wskazałam palcem na prawo. Rozumiałam, że głośno nie wolno mi było mówić. Doszliśmy do nich. Zaledwie kilka minut, ale widziałyśmy się i kilka zdań przekazałyśmy sobie nawzajem. Między innymi – że my nie mamy już dziecka, nie żyje, one – że u nich oddzielają dzieci od matek, tylko w inny sposób. Łzy w ich i naszych oczach miały szeroką drogę.

Minęło wiele czasu, kilka lat, zanim dowiedzieliśmy się, że ciocię umieszczono w Oświęcimiu i dano jej numer 34300, że córkę odłączono od niej i wraz z babcią, której przydzielono jeszcze sześcioro dzieci, obcych maleństw bez opieki, wywieziono pociągiem w stronę Warszawy. W czasie podróży kilkoro dzieci zmarło, a część miała szczęście. Między innymi córeczka cioci została wykupiona na stacji w Siedlcach przez kolejarza i wpisana do dowodu osobistego jego córki.

Dlaczego dziecko nie mogło być dzieckiem? Dlaczego ja nie mam brata? Czy ja będąc jeszcze dzieckiem musiałam doznać tyle krzywd i cierpień? Pamiętam do dziś jak moja matula często ocierała rękawem łzy i coraz mocniej przyciskała mnie, przytulała do swoich piersi – Już tylko zostałam mi jedna, moja córciu – szeptała.

Dlaczego wojna zabrała nam tyle ludzi?! Czuję żal do Niemców, ponieważ wyrządzili nam tyle krzywd. Swoje dziecinne myśli umieściłam w wierszu pt.

Oczami dziecka

Na wysokości oczu dzieci były
 też oczy
 złe oczy niemieckich psów
 sterczące uszy reagujące
 nawet na szept swego pana
 olbrzymie pyski i kły, które
 wtedy zbyt często grzały się w
 polskiej krwi

Do wysokości oczu dzieci
 były też czarne lśniące buty
 okrywały je
 poły pięknego płaszcza
 z dużymi guzikami
 przy boku nahajki się huśtały
 ich końce jakże często
 ludzkie ciała muskały

zostawiając dużo ran

Ponad wysokość oczu dzieci
układały ludzkie ręce
góry śniegowe
trochę dalej
sterczał kolczasty płot
ciągnący się w nieskończoność
a obok baraki
sięgające niebo
dla niewinnych ludzi
Był to świat Dziecka Zamojszczyzny
co w latach okropnej wojny
musiało być dorosłe
więc cierpiało
na równi z dorosłymi
a przecież chciało żyć jak inni
gdzieś tam na wolności
w swojej wiosce rodzinnej
wśród swoich przyjaciół

Niemcy byli też ludźmi. Dbali o swój wygląd, zdrowie i żołądek, ale dlaczego nas, Polaków, traktowali jak nieludzi? Potem zrozumiałam ich cel, bo chcieli zniemczyć ziemię, zniszczyć ludzi tam mieszkających, a może cały nasz naród, pod względem gospodarczym i pod względem biologicznym. Czy o tym można zapomnieć?

W połowie marca wezwano nas i pozostałych rzemieślników z tego baraku do arbeitsamtu, gdzie dano według nich „czas do wyboru”: zapisać się na volkslistę, wyjechać do Niemiec na roboty, zostać robotnikiem u „czarnych”.

Mamie, bo miała więcej odwagi od taty, udało się wyprosić pracę u Niemców zamieszkałych w gospodarstwach wysiedlonych Polaków, ponieważ zbliżała się wiosna, a więc początek roboty w ogrodach i na polu. Zawód – kołodziej też okazał się ważny. Tylko kilka rodzin miało szczęście być zwolnione.

Tak to w dniu 21 marca 1943 roku znaleźliśmy się na wolności. Wyruszyliśmy pieszo do swojej wsi. Spotykaliśmy po drodze różnych ludzi. Jedni dowiedziawszy się, że byliśmy za drutami częstowali nas czym mogli. Inni zapraszali do swoich domów, żeby u nich odpocząć, nawet przenocować. Zawiadomili naszą rodzinę nazajutrz byliśmy w rodzinnym domu.

Mijał rok 1943. Moi rodzice mimo gróźb i nakazów nie zgłaszali się do pracy we wsi Wielącza. W krytycznych momentach ukrywaliśmy się u sąsiadów lub opuszczaliśmy wieś na kilka dni i tak jakoś zeszło.

Brakowało żywności, nowych ubrań, obuwia, książek. Nie było gdzie i za co kupić. Wszyscy mieszkańcy wsi i okolic mieli takie same kłopoty. Każdy człowiek z utęsknieniem czekał końca wojny. Ale kiedy ten koniec nadejdzie, nikt nie wiedział. Dopiero w 1944 roku dochodziły wiadomości, że rodziny niemieckie mieszkające w sąsiednich miejscowościach zaczynają wyjeżdżać. Wszyscy zaczęli mówić, że Niemcy wojnę przegrają.

W długie zimowe wieczory schodzili się do nas sąsiedzi. Rozmowy zaczynały się na temat wojny i na wojnie się kończyły. Moi rodzice ciągle musieli opowiadać jak to było za drutami. Ciągła dyskusja i moje osobiste przeżycia utkwily mi w pamięci, pamiętam do dzisiaj i nigdy nie zapomnę.

* * *

Co najmniej raz w roku odwiedzam rodzinne strony mimo tego, że nie ma już dziadka, moich rodziców i sąsiadów, których znałam i do dzisiaj pamiętam.

Widzę zmiany. Pełno jest murowanych, nawet piętrowych domów z kilkoma pokojami, w których są nawet meble a w oknach piękne firanki. W ogródkach domowych dużo drzew, krzewów i kwiatów.

Zbudowano nową szkołę, w której już odbywają się zajęcia. Stary budynek jeszcze stoi – może przyda się do innych celów. Jest także nowa remiza strażacka i kilka sklepów. W sąsiedniej wiosce wybudowano nowy, większy kościół.

Zostały podwójne tory kolejowe. Przeprowadzono komasację gruntów. Nie ma już trzciny i wielkiej wody na łąkach.

Przez wieś biegnie szosa, po której autobusy skracają drogę do szkół, miast i nawet do kościoła.

Mało już furmanek z drewnianymi kołami. W ich miejscach są gumowe koła. Przybywa coraz więcej traktorów i maszyn, aby łatwiej i szybciej odbywały się orki, siewy i żniwa. Zlikwidowano większość

studzien, doprowadzono wodę do budynków mieszkalnych. Kto chce może mieć nowe radio, telewizor a nawet telefon.